

Maciej Pisarek

## Festiwal

Michel był wspaniały. Przemyślany i wypracowany w każdej odślonie. Na przykład, to już pod koniec, kiedy zaprosił nas wszystkich do siebie, do swojego domu. Ciasno tam było u niego, prosto i surowo. Stół stał pod niskim baldachimem z winorośli, obrus był biały i stary, gołe żarówki robiły z gorącej nocy chłodny dzień, a Michel sam nas obsługiwał. W fartuchu i klapkach donosił tace z jedzeniem. Kiedy wjeżdżała jakaś większa taca, której już nie mógł upchnąć na stole, prosił kogoś o pomoc. Chwyтали ją wtedy za krótsze brzegi i, krocząc po przeciwległych stronach stołu, przesuwali ją nad naszymi głowami, a my porywaliśmy z niej zapiekane bakłażany czy coś takiego. Co chwilę buchał gdzieś śmiech. Wino wchodziło do głowy. Było jak miało być. Dobrze.

Michel był wspaniały od początku i dla każdego. Opiekował się nami. Jego ludzie też, ale on sam przede wszystkim. Osobiście. Prawdziwy gospodarz. A my jego goście. Każdy z nas niby robił co chciał, ale - bez przesady. Michel czuwał nad wszystkim, na wszystko miał oko, za parawanem luzu wszystko było zaprogramowane co do minuty.

Był też wspaniały kiedy, już później, dojechała Asia. Zrobiła się jak na ściankę jakiegoś naprawdę wielkiego festiwalu z czerwonym dywanem i, trzeba przyznać, robiła wrażenie. Michel, zupełnie jak Francuzi, nie umiał przejść obok tego obojętnie. Wzdychał, kręcił głową, oczy mu iskrzyły, ale najlepsze, że to - mówił. Mówił wprost jaka to z niej nieziemski dupa. Mówił o tym do mnie, do niej, i nie było w tym nic z wyrachowania czy perwersji. Samo to płynęło, spontanicznie, zachwyty pięknem, kobietą. Wspaniałe. Kiedy łąziliśmy nocami, Francuzi, zupełnie obce dziewczyny, potrafiły nas zatrzymać tylko po to, żeby powiedzieć Asi jak świetnie wygląda. Cudowne.

Michel więc, mówię, zupełnie jak Francuzi. Bo przyjechał z Nowego Jorku. Nie wiem kiedy, myślę, że dawno. Ameryki do końca nie opuścił, rozdwoił się. Może się zakochał? W kobiecie właśnie, stąd? A może nie byłoby go tu, gdyby nie młodzieńcze lektury Hemingwaya i Fitzgeralda? Do Fitzgeralda był nawet podobny. Jak dla mnie. Wprawdzie uśmiechał się chętnie, odsłaniając mocne zęby, co Scottowi, przynajmniej na fotografiach, prawie się nie zdarzało. Wprawdzie wargi miał pełne, nos dłuższy, zarost czarny i brodę, czyli zupełnie nie to. Wprawdzie garbił się, patrzył przez to z dołu, a jego ręce wydawały się dłuższe i wypełniało go coś seksownie zwierzęcego, ale - spojrzenie! Bo nie powiem, że oczy. Spojrzenie miał jak Scott. Łagodne, pełne szczerzej uwagi i bezkresnego dystansu.

Już w godzinę czy dwie po przyjeździe stałem w słońcu pod potężną, kamienną ścianą z urwanymi sklepieniami, wszystkim co zostało z zamku pewnego papieża. Nasza grupka była mała. Niektórzy urwali się na jakieś zakupy, póki jeszcze był czas, a inni jeszcze nie dojechali – dla Michela nie miało to znaczenia. Krótko, ale z zaangażowaniem, dowcipnie, ale i z dyskretnie podkreśloną znajomością rzeczy, opowiedział o zamku i pozwolił nam sycić się widokiem doliny Rodanu. Rozległa i bajkowa, rozpościerała się od stóp zamkowego wzgórza. Po to nas tam zabrał. Widok był imponujący.

Poznawaliśmy się wśród uśmiechów, żartów i wzajemnych uprzejmości. I nie były one zdawkowe, bo nigdy nie wiadomo na kogo się trafi w takich okolicznościach. A towarzystwo było, naprawdę, z całego świata. Wdałem się w rozmowę z kobietą jedną, szczupłą, młodą, lat czterdzieści może. Amerykanką. Szara taka, bez makijażu, włosy na krótko. Szła z rękami skrzyżowanymi na piersiach, patrząc w ziemię. Na człowieka zerknęła tylko, kiedy już naprawdę nie miała wyjścia. Ważyła słowa. Wkrótce wyszło szydło z worka. Jurorka! Próbowałem więc paplać o czymś oczywistym. Że jak tu pięknie i cudownie. I że wyrwałem się prosto z planu, gdzie pracuję jako *first assistant*. I o czym będzie ten film

co go robimy. Że chłopiec biegnie, jak w pielgrzymce, w intencji chorej matki. Do niejakiej Częstochowy. Bo tam święta nasza panienka na obrazie umiłowana... Trudno to było powiedzieć po angielsku. Zauważyłem, że policzki kobiety robią się czerwone.

No właśnie. Graliśmy przyjaciół, odwalaliśmy wielką filmową rodzinę, a przecież – to był konkurs. Z nagrodami. Festiwal mały, ale z tych gdzie rozmiar akurat nie ma znaczenia, a wręcz podnosi prestiż wybranych. I każdy chce wygrać, z nagrodą wyjechać, wpisać sobie coś więcej w cv, wiadomo. Niby więc luz, a każdy pod spodem przyczajony.

Po zamku i rajdzie przez sklepy z miejscowym sławnym winem, Michel zabrał nas na obiad. Był to chyba jakiś ichniejszy dom weselny. Rzucony gdzieś wśród winnic, paretrowy i przyjemnie kiczowaty. W środku, za chudymi, rzadkimi, pstro malowanymi kolumnkami miał patio z niewielkim basenem. W jedną z jego niebieskich ścian wmurowano donicę, w której rosła palma. Mała taka, cherlawa, ale zawsze. Czekaliśmy tam na te wymarzone cuda kuchni francuskiej, witając nieustannie nowych, którzy dojeżdżali z miasta. Czekaliśmy i czekaliśmy. A dali tylko wodę. Gadki starannie omijały temat tego czekania i wody. Do czasu. W trzeciej godzinie nie mówiło się już o niczym innym. Cichaczem wprawdzie, ale zgodnie, chichocząc, i złośliwie. Mieliśmy już naprawdę wspólny temat. Głowę daję, że i to Michel miał w programie. Festiwal otwierał się następnego dnia, a ten wieczór był na rozruch, integrację. Udało się. Tym bardziej się udało, że przynieśli wreszcie parę butelek wina. Sączyliśmy je powoli, w strachu, że więcej nie dadzą. Po jakimś czasie zaczęły jednak wjeżdżać kolejne butelki, a Michel zaczął nas usadzać.

Każdy miał wyznaczone miejsce. Tabliczka z nazwiskiem i tak dalej. Michel sam zaprowadził mnie do mojego krzesła i przedstawił sąsiadowi. Był to podstarzały, mocno opalony Węgier, o mięsistej twarzy i czarnych, kręconych włosach. Z żoną. Blondynką dla odmiany. Kiedyś musiała być z niej niezła laska. Teraz oboje wyglądali tu na obce ciała i

wydawali się spięci bardziej niż reszta. Wiadomo, festiwale są dla młodych. Ale kiedy Węgier usłyszał, że obok niego siądzie Polak, rozpromienił się jak, nie szukając daleko, prowansalskie słońce w zenicie. Jakby zrzucił jakiś ciężar. I już za chwilę leciało *Lengyel, Magyar - két jó barát*, ale najpierw...

- Polish?! Great! - i potem, już jakoś tak bardziej do Michela i innych, bo dla mnie miało to być przecież oczywiste, a oni mogli nie wiedzieć, wypalił na cały głos:

- We love each other! Because we both hate Germans and Russians!

No, cóż, nie potwierdziłem. Uśmiechnąłem się głupkowato, zrobiłem jakieś coś rękami i tyle.

W końcu dotarli ostatni, którzy mieli dotrzeć i Michel wreszcie zadzwonił łyżeczką. Przywitał zgromadzonych, powiedział jak się cieszy i tym samym, serdecznym, ale i energicznym, niemal żołnierskim tonem oznajmił:

- John Torturro nie przyjedzie. – I dalej, raz-dwa, bez pauz i mrugnięcia okiem, o tym, że coś tam Johna w New Yorku zatrzymało, ogromne zobowiązania jakiegoś, że bardzo żałuje, że bardzo chciał, ale że za to bardzo wszystkich pozdrawia, życzy szczęścia oraz sukcesów. A w ogóle to *no problem*, bo za Johna jako gość główny festiwalu zgodził się łaskawie wystąpić... I tu przedstawił Węgra.

Węgier okazał się nie wyłącznie Węgrem, bo od lat mieszkał w Paryżu, ale i reżyserem, choć właściwie aktorem. Jednak wyreżyserował właśnie nie tak dawno film na Węgrzech, więc wszystko się zgadza, i teraz, na festiwalu, z radością ten film pokaże. Pewnie były jakieś oklaski, ale krótkie, bo wszyscy dość już mieli pompy i wołali jeść. A jedzenie, kiedy wreszcie je przynieśli, okazało się wyśmienite. I wina też, wiadomo, choć nie były w nieograniczonej ilości. Ale dzięki temu poznałem osobliwy zwyczaj, może i lokalny, bo wśród nas byli też tutejsi, zaproszeni z jakichś powodów, a po mojej drugiej stronie siedział najprawdziwszy winiarz: Resztki z butelek – nieważne białe czy czerwone – zlewali na koniec do jednego kielicha. I nic się nie marnowało.

W każdym razie mnie było mało i nudziło mnie już towarzystwo dziadów, wśród których posadził mnie Michel. Chociaż - z Węgrem zgadaliliśmy się, że grał kiedyś z jednym z naszych aktorów, którzy zrobili we Francji karierę. Rozpływał się nad jego kunsztem. A złożyło się tak, że aktor ten grał akurat, właśnie teraz, w filmie, przy którym robiła u nas moja dziewczyna. Ucieszyła mnie ta okoliczność – dowód wreszcie namacalny, że my wszyscy, Polak, Węgier, Francuz, Niemiec czy Amerykanin, to wielka filmowa rodzina – i radośnie zapowiedziałem, że przekażę pozdrowienia. Węgier się czemuś spieszył. Ale nie to, że nie chciał, protestował. Nie. Coś jakby chciał powiedzieć, wyrazić – i nic nie wyraził. Zgasł. I tyle. Nie było o czym z nimi gadać, a mnie się chciało pić.

Na szczęście Michel przedstawił mnie mojemu, że tak powiem, towarzyszowi pokazu. Bo na festiwalu filmy miały być puszczone w parach. Krótki i długi. Ja miałem krótką fabułę, a Eli długi dokument. Do tego Eli był Żydem z Izraela, więc z miejsca poczuliśmy się przeznaczeni do zawarcia bliższej znajomości. Tym bardziej, że nie ścigaliśmy się, bo występowaliśmy w różnych kategoriach. Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy, uścisnęliśmy mocno dłonie i szybko się zgodziliśmy, że trzeba spierdlać. Miał wypożyczony samochód, raz dwa wróciliśmy do miasta, gdzie, mimo że było już dobrze po północy, trwała w najlepsze impreza, festyn czy coś (chyba chodziło o to, co u nas nazywa się nocą świętojańską). Poszliśmy pić. Razem z jego dziewczyną, Miriam, śliczną, młodziutką, emigrantką z Rosji. A Eli miał iście słowiański łeb. Do picia ma się rozumieć, z wyglądu zupełnie nie. Oczy wprawdzie jasne, ale za duże, wyłupiaste nawet, wargi grube, głowa kulista, na łyso golona. I nic, że niski - dobrze zbudowany, z łysą pałą wyglądał jak erekcja marzeń. I ta zwiewna i dumna Miriam przy nim - podobało mi się to. Te tematy były nam bliskie. Doszliśmy do nich wkrótce, kiedy piliśmy sami, ale póki co gadaliśmy o czymkolwiek. O naszych filmach, o Michelu, o innych, bo niektórzy już nadawali się do obgadywania. O Polsce, bo Eli był. O Izraelu, bo ja nie byłem. O gułagu. Bo Miriam, poza tym, że była skrzypaczką,

studiowała historię wywózek. Mój de facto teść przeszedł Kazachstan, więc jeszcze tej nocy byliśmy umówieni u nas, w Warszawie. A ja, kiedyś, wiadomo, jak kasa będzie, to do Izraela. Zapraszamy.

Do hotelu wracaliśmy tuż przed świtem, wąskimi uliczkami, chwiejnie, odbijając się od ścian starych kamienic. Eli i Miriam zaczęli się klócić, co, jak wiadomo, dobrze robi na seks. Jeszcze nocą nadeszła nowa fala gorąca.

Była kiedyś taka czołówka jakiegoś zapomnianego studia filmowego: Nagi mięśniak wielkim młotem uderza w ogromną tarczę, gong. Uwielbiałem ją. Ale to były stare filmy. Znikały, znikały i w końcu zniknęły. A z nimi czołówka. Pamiętam ją jak przez sen.

Zacząło się. Lato. I festiwal. Ludzie z miasta rzeczywiście przychodzili. Niewielu, bo niewielu, niektórzy może uciekali przed upałem, ale jednak. Po każdym pokazie była rozmowa z twórcami, a Michel zawsze wiedział o co zapytać, żeby nie było pustych przelotów. Były też dyskusje. Bez ściemy, bo zdarzały się trudne pytania, krytyczne uwagi, ale wszyscy starali się być bardzo mili, a Michel dbał, żeby dla każdego znaleźć powód uznania. Od razu też przyjęło się, że twórca po pokazie zbierał gratulacje od całej reszty uczestników. Normalnie ustawiała się kolejeczka, jak na ślubach. Jasne, te gratulacje nie zawsze były szczere, ale taka konwencja spontanicznie uformowana, czy może – na pewno - dyskretnie moderowana przez Michela, budowała, a nawet wymuszała atmosferę wzajemnej życzliwości. Rywalizację nie tyle odsuwając w cień, co skutecznie ją zmiękczać. Make love, not war! Nie wypadało po prostu być zjadliwym. Wypadło być uprzejmym i szanować. Czuliśmy się więc dopieszczeni, a jeszcze ta Prowansja, piękno bezdyskusyjne, nawarstwione, onieśmielające, wszystko w ogóle - zobowiązywało.

Stanęliśmy na wysokości zadania. Nasz pokaz poszedł bardzo, bardzo dobrze. Filmy, mój i Eli'ego, już pomijając to, że fabuła i dokument, były z kompletnie różnych planet. Ale też Michel tak układał ten festiwal.

Tak, jakby na niczym mu tak nie zależało jak na różnorodności. Jakby chciał mieć jak najpełniejszy przekrój form, stylów, tematów i temperamentów, mozaikę kultur, krajów, brzmienie różnych języków. I tak, nasze filmy w jakiś niepojęty sposób się uzupełniły, dodały sobie od siebie. A potem – oklaski... Dla każdego z osobna i dla nas razem. Sukces? Wspólny? No raczej. Na pewno! I tym bardziej wspólny, że mnie się film Eli'ego naprawdę bardzo spodobał, a i jemu mój, co podczas rozmowy z widzami szczerze sobie wyznawaliśmy, będąc nawet - tak, tak – prawdziwie poruszeni. Wzruszeni, nie bójmy się tego słowa. Bo jednak – tak! - było coś wspólnego w naszych filmach. Wbrew wszystkiemu, wbrew pozorom. Był to mianowicie smutek. Smutek rozstania, ściślej rzecz ujmując. Smutek rozstania z różnych wprowadzie planet, innego rodzaju, w różnych kontekstach zrodzony, ale jednak – również ten sam. Poczuliśmy to. W ogóle – c z u ł o się to. Czuło się, że jest chemia z widownią, czuło się przychylność. Czuło się, że Michel bardzo liczył na nasz pokaz, i że się nie przeliczył. I trafił zestawiając nas razem. I do nas więc ustawiła się kolejeczka. I ja zbierałem gratulacje, w tym od rywali, i od Węgra samego gościa specjalnego. I żony jego, tego wieczora szczególnie, jak dla mnie, atrakcyjnej... (Aha, miałem, mam zadzwonić i przekazać te pozdrowienia od aktora dla aktora, niespodziankę miłą zrobić.) Jakże było miło! Jakże. Ciepło i dobrze. Jeden tylko, Niemiec, co też miał krótki film, nie podszedł, za to - celowo - spotkał mnie wzrokiem. Ja wiem coś ty za jeden, mówił ten wzrok, mnie nie nabierzesz. Tamtych może tak, ale mnie nie. Za to ja nie dałem się prowokacji jego nędznej, gliwickiej, za to ja do niego – z sercem, po chrześcijańsku. I dnia chyba następnego, po jego pokazie, podchodzę, gratuluję... Choć nie ma czego. (Koniec wojny za linią frontu, amerykańscy spadochroniarze, dziecko jakieś, rany, walka, wrzasków dużo. I zły grubas nazista, sztuk jeden. Rechocze, gryzie kielbasę i popędza uciśniony lud niemiecki szturchnięciami giwery. Serio. Na koniec lecą animowane samoloty i nie ma co zbierać.)

Ale co tam! Make love and peace. Co on, chłopaczyna, winien, że zamarzył sobie szeregowcem Ryan'em, a germańcem się urodził? Nic nie winien, olać go więc, olać. Wszystko to olać, bo oto...

Bryluję! Brylowałem. Brylowaliśmy. Bo przyjechała już Asia. Malowała się parę godzin, włożyła sukienkę za grube tysiące. Dekolt, szpilki, wszystko było. Gdyby jeszcze angielski... Ja wyciągnąłem nową koszulę, kupioną specjalnie na festiwal, jak i połowa w ogóle mojej garderoby, nie odnawianej latami. Poszliśmy na bankiet, *standing party* wręcz, w jakimś muzeum czy oranżerii. Światła przyćmione, cicho przygrywa kwartecik, roznoszą szampana. Patrzą, patrzyli na nas, zerkali zazdrośnie, uśmiechali się, cykali fotki. Co chwila ktoś podchodził, słodził, kadził. Co tu dużo mówić - poczułem się faworytem.

Kurczę, może od początku nim byłem? Czy nie dlatego Michel przedstawiał mnie każdemu kto się nawinie? Czy to nie dlatego podczas tego przedstawiania niektórzy reagowali tak, jakby - już o mnie słyszeli? Czy ich oczy nie mówiły „a, to ten...”? A czy nie dlatego na dzień dobry posadził mnie przy głównym stole? Obok samego Johna Torturro? Wprawdzie w ostatniej chwili zastąpionego przez Węgra, ale...

O, właśnie. Jest i Węgier ze swoją piękną niegdyś, a dziś odstrzeloną żoną, która posyła Asi trujące spojrzenie. Cholera, dzwoniłem, a nie powiedziałem swojej dziewczynie, żeby tego aktora, z którym grał... Z głowy wyleciało, cholercia, tyle się dzieje... Ale przecież madziar i tak nie chciał słać pozdrowień. Najwyraźniej. Bo? Raczej się nie poprzytykali, bo by się tak nad nim nie rozplęwał, tylko wręcz przeciwnie, nie? A gdyby mu tamten żonę przeleciał, czemu, jeśli to było dwie dekady, nawet dekadę temu, wcale bym się nie dziwił, to by go raczej wymazywał z pamięci, nie? Aaa... bał się, że tamten go nie pamięta? Bo tamten wybitny jest, a - co, Węgier nie jest?!

Podchodzą tymczasem, czy my podchodzimy, gadka jakaś. Bąkam, że... Po co ja to bąkam! Że nie miała jeszcze okazji pozdrowić, bąkam. Węgier czemuś zły. Że ściemniam, myśli sobie? Że tamten go



jednak nie pamiętał? Tak to wychodzi? Że on nie chciał pozdrawiać, podkładać się czyli, a ja go jednak podłożyłem? Mimo woli jego? Gościa specjalnego? Status jego wątpliwy obnażyłem?

Idą sobie, dobrze.

Oj tam, olać, i tak wszyscy wiedzą, że on z łapanki. A on wie to najlepiej, powinien przynajmniej. Problemu nikt z tym nie ma, i on nie powinien. Dorosły w końcu. Za dwa dni rozjadą się wszyscy, za tydzień ledwie się będą pamiętać.

Poszli. Brylujemy dalej.

Asia została dwie noce. Snuliśmy się w upale. Ona, z jednej strony, gwiazda, laska z okładki, Hollywood - z drugiej, beze mnie ani be, ani me. I żeby jeszcze coś. Z jednej strony, pręży się, muśliny wkłada, kokietuje, z drugiej, nic, naprawdę. Nic! Ani w tę, ani w tę. A okazja taka, bo Michel – intuicją wiedziony, czy redukcją kosztów, w każdym razie jak zawsze nieprzypadkowo – upakował nas w jednym pokoju. A spać się i tak nie dało. Przez duchotę. W stareńkim hotelu klimatyzacji zero, lepko, nic tylko zrzucać majty... Jaja mnie bolały, tyle z tego miałem. Chciałem oglądać filmy, bo w końcu to jest najlepsze na festiwalach, więc odetchnąłem kiedy Asia wreszcie pojechała. Musiała wracać do serialowej rzeczywistości, a ja znowu mogłem włączyć się do późna w nocy z Elim i Miriam.

I tak został jeszcze wieczór ostatni i pokaz filmu Węgra. Nagrody miały być przed południem dnia następnego i ostatniego zarazem.

Na Węgra przyszli wszyscy. Wypadało, ale i z ciekawości. Cóż, trzeba dodać, że to było bardzo stare kino, kinoteatr, przy głównym placu. Płaska widownia, proscenium, kurtyna – i rzędy drewnianych foteli na ośkach. I tak, co moment w różnych miejscach sali któryś z tych biednych foteli wydawał – za nas, za ludzi, w naszym imieniu! - żaloszny, rozpaczliwy jęk... Punktowe, zachodzące na siebie, sprzężające się jęki i zawodzenia, trzeszczenia i skrzypy, różnej długości i wysokości, istna symfonia

cierpienia. Co bardziej zmęczeni albo bezwstydni, szczęśliwie przysypiali. Tutejsi, powinnością nie skrępowani, chyłkiem wymykali. A my, Eli, Miriam, ja... na kacu! Ukryci gdzieś z boku, z tyłu, żeby jakoś przetrwać, wiercić się jak najciszej, zdusić westchnienia, nie zgrzytać zębami. Jednak, bywało, jakaś scena domagała się reakcji. Wołała o nią. Wtedy wymienialiśmy milczące spojrzenia... I trzeba było szybko uciekać wzrokiem. A kiedy już miała nas dopaść głupawka i wybuch śmiechu, wbijaliśmy czoła o oparcia, chowaliśmy twarze i gryźliśmy palce. W końcu odpadłem. Przespałem szczęśliwie ze dwadzieścia minut i – wreszcie się skończyło.

Oklaski, no, bo jakżeby nie. Zapalają światło, Węgier już wbiega na scenę, energicznie, podburzony jakiś, brew marszczy, machnięciem ręki oklaski gasi... Michel zagaja, szuka powodu do uznania, ale – nie! Węgier nie chce słuchać. Nie o to tu chodzi. On chce mówić. I nie po angielsku. Po swojemu chce mówić, po francusku. Bo to jest ważne, co ma do powiedzenia, i musi być precyzyjny. Michel, że jasne, okej i *no problem*, będzie tłumaczył, zawsze tłumaczy... Tłumaczy więc na razie to jego życzenie, a tymczasem Węgier... - mnie łapie spojrzeniem! Twardym i poważnym. Surowym. Łapie, trafia wręcz można powiedzieć, bo ja właśnie walkę toczę z ziewnięciem potężnym, co to świeżo po drzemce mnie napadło i, myślę, kurna, wyglądać to może jak - siłą ściągany uśmiech? Kpiący taki? Oj tam.

Michel ledwie kończy entree, a Węgier od razu do rzeczy. I - aż dziw bierze ile można zrozumieć w języku, którego się nie zna, jeszcze zanim tłumaczenie potwierdzi, co się niewątpliwie – n i e w ą t p l i w i e – usłyszało.

Tak, film jest do dupy. On, Węgier, filmu autor, to wie. No przecież. Wie jak jest. Nie zamierza ściemniać, darujmy sobie dyskusję i trudne pytania. Owszem, nie udał się film, różne były powody, obiektywne, nieobiektywne, kasy nie było, zawsze jej mało, wiadomo – nieważne. Zdarza się. Nieważne! Ważne – o czym ten film był!

W tym momencie ja, ale i, jak podejrzewam, większość skatowanej widowni wyraziła pewne zainteresowanie, bo, rzeczywiście, trudno było dociec o czym dzieło było.

Tolarenacja! Bo tu chodzi o tolerancję, zagrział Węgier. Tak, o tę tolerancję, której tak w jego kraju, na Węgrzech, we Francji, tak, tak, nie czarujemy się, jak i w ogóle Europie całej, a już wschodniej szczególnie, tak bardzo brakuje. Homoseksualiści, wiadomo, prześladowani. Nacjonalizmy, przynajmy, Węgry, Rumunia, nikt nie jest bez winy... Ale też, niestety, ciągle – tu podniósł głos - a n t y s e m i t y z m. Tak, tak – pokiwał głową, pogroził - antysemityzm! Również, przyznał, głos znowu ścisząc, na Węgrzech, ale i w innych krajach... I teraz - jakby sobie nagle przypomniał o najważniejszym. Przecież! Tym najważniejszym, co mu się o mało nie wymknęło, i co w związku z tym podkreślić trzeba tym mocniej, najmocniej:

- e n P o l o g n e!

Fotele zamilkły.

A gdzieś za ścianą drewniany młot grzmotnął w sam środek metalowego talerza, wielkiego jak drzwi do kościoła.

Węgier w tym akurat momencie na mnie nie patrzył – ale patrzył. Spojrzał. I to jak! Wszyscy spojrzeli. Choć niby nie. Wcale nie. Węgier po *en Pologne* oskarżycielskim spojrzeniem wodził po sali, każdemu zajrzał w oczy, tylko mnie nie. Mnie tylko ominął i wskazał w ten sposób. A ja wypuściłem powietrze z cichym sykiem. Eli ściągnął usta, Miriam się zachmurzyła. Już byłem odczarowany. Byłem Polakiem wśród ludzi.

Węgier, kiedy wytłumaczył, że tak naprawdę zrobił film o antysemityzmie *en Pologne*, był uratowany. Tryskał energią, dowcipem, jaśniał, świecił wręcz. Brylował... Odmłodził! Takie to było zaklęcie. I do niego ustawiła się kolejeczka. I ja w niej stanąłem, grzecznie. Tak, jak do tej pory. Ale

jednak teraz na widoku. I teraz już nikt się do mnie nie uśmiechał. Zerkali ukradkiem, smutni i poważni, szybko odwracali głowy. Albo inaczej, patrzyli we mnie w zamyśleniu jak w pustą przestrzeń, jakbym był przezroczysty. I tylko szara Amerykanka z „New York Timesa” spuściła głowę i przybiła się już na dobre wzrokiem do podłogi. A Węgier, kiedy podszedłem, rozpromienił się jeszcze bardziej, jak, nie szukając daleko, prowansalskie słońce w zenicie. Przypomniała mi się ta żałosna palma w basenie z pierwszego dnia. Kicz, pomyślałem, wszystko to kicz.

Ale to był dopiero początek. Bo Eli nagle zauważył orzełka na moim plecaczku. Plecaczek, bardzo wygodny, był prezentem za lojalność, za punkty, od holenderskiej, wszechświatowej firmy Shell. Chodziłem z nim cały czas, od początku, i nikt go nie widział. Ja go nie widziałem, Eli go nie widział, Miriam, Michel, nikt. I Eli mi naraz, teraz, nagle palcem pokazuje – This sign... - i uśmiecha się dziwnie, krzywo. Nie, nie krzywo. To wstręt? Więcej? Gorzej? Naprawdę?! I tak kładzie ten palec na moim orzełku. – It's just a sign, Eli... - odpowiadam, z zaciśniętymi zębami. Bo już wkurwiony jestem. A nie powinienem. Nie powinienem być wkurwiony! Powinienem się wyprzeć, odżegnać, głowę spuścić, jak każdy porządny Polak, a jeszcze w domyśle artysta. Chociaż jakieś coś rękami zrobić. Skłamać przynajmniej. Że przeoczenie jakieś, zasadzka, ruski sabotaż. Orzełka oderwać, spalić, do Shella pisać protesty, bojkotować, do kolumny jenieckiej dołączyć, bo nikt mi przecież nie kazał Polakiem się rodzić. Tak powinienem. A nie wkurwiać się.

Nagle, widzę, szeregowiec Ryan przemyka pod ścianą. Ale tak, żebym go widział. I jego uśmieszek? Taki kpiący? Już wie, że wygra? Since-fiction o niemiecko-amerykańskim braterstwie broni z czasów wojny ma wygrać?! Bo teraz już nie ma wyjścia? Bo powiedziane zostało? Co za kicz, rany boskie, myślę sobie, i to naprawdę się dzieje?

Michel! Ten mnie zrozumie, ten obroni, pomoże, przecież od początku mnie ukochał. A i ja jego ukochałem, i nawet Fitzgeralda w nim, choć nic w nim z Fitzgeralda... Ale Michel spojrzał na mnie bardzo z dołu. Z troską. I wyrzutem.

Mieli mnie wreszcie z głowy.

Odpywałem TGV, próbując łapać nieuchwytnie. Jak sen po przebudzeniu, którego nie da się opowiedzieć na jawie.

A jawa śmiała się ze mnie. Ależ miała ubaw. Nawet tego nie opowiesz, rechotała mi szeptem nad głową. No bo jak, i komu? Chyba że do dziury w ziemi. To zbyt ulotne, zbyt niebyłe było, żebyś mógł opowiedzieć. Wszyscy słyszeli, wszyscy widzieli, ale nikt nie widział, i nikt nie słyszał. Nie ma świadków, nie ma czynu zabronionego. Wręcz przeciwnie, nie? A czy nie dlatego, pluła mi już do ucha, tylko cię tam wzięli, że jedyne czym się mogłeś pochwalić, to wyróżnienie na festiwalu, który miał *Jewish* w nazwie? Pomyślałeś już o tym? Doszedłeś do tego? Popracuj nad tym. Ha, może nie dlatego Michel was z Elim skojarzył, bo tak mu na różnorodności zależało, że aż Polaka z Żydem zestawiał. Pamiętasz, kiedy się witałeś z Elim? On też jakby już o tobie słyszał...

- No jasne, kurwa, mieliśmy mieć pokaz!

- Pokaz, pokaz... Tak, ale to Michel go ułożył. Pamiętasz, miałeś wrażenie, że wszyscy tam już o tobie słyszeli, że cię znają? A jak było z Elim? Inaczej?

- Zamknij się.

- Nie inaczej. Pamiętasz jak was Michel poznawał? Spojrzeliście sobie głęboko w oczy, uścisnęliście sobie mocno dłonie... Wiedzieliście, że on jest z Izraela, a on wiedział, że ty jesteś z Polski. Ale on zapytał: „And you are...?” A ty od razu wiedzieliście co to za pytanie tak naprawdę i jak masz odpowiedzieć. I odpowiedzieliście, bo to musiało być jasne: „I’m Polish. I’m hundred percent Polish.” A on to powtórzył, cicho, do siebie: „Hundred percent...” I zabrzmiało to - jak? To jego powtórzenie? Ta echolalia? No jak, wielka filmowa rodzino? Jak *he killed them*. No, z czego to? Któż tak powtórzył, i po kim? I co to znaczyło, ta scena, to odkrycie? No, co?

Usłyszałeś to wyraźnie. Tylko, że wtedy jeszcze wszystko było przed wami, a nie za wami, i poszliście pić i pieprzyć o dupach. I pijany, ululany byłeś cały czas. Śniło ci się coś.

Śniło mi się coś.